ROZMAITOŚCI.

Dnia 11. Listopada N.ro 45. Roku 1843.

KOKIETA.

1.

Podczas jednego z tych dżdżystych, jesiennych wieczorów, w którychto koniec lata dotkliwie czuć nam się daje, szedł mężczyzna w wieku podeszłym, płaszczem obwinięty, drogą wiodącą ku Louxemburgowi w Paryżu. Ulice już były puste i tylko piskliwy głos pozytywy odzywał się z jednego domu. Ósma właśnie wybiła na wieży, gdy wszedł do salonu swéj siostry—markizy de Pons.

Markiza byłato dama czasów dawniejszych. Najpiękniejsze życia swego chwile przeżyła na dworze królowéj Maryi Antoanety, ale zbyt przykre dla niéj nastąpiły potém! Wreszcie i te się skończyły, a szczęśliwa z wyratowanych w tém zaburzeniu szczątków niezmiernego niegdyś majątku—swobodne pędziła życie. Od lat tylu do etykiety dworskiéj nawykła, na pierwszy rzut oka imponującą i zimną być się zdawała, lecz poznawszy ją cokolwiek bliżéj—mniemanie to nikło przed wdzięcznym urokiem, którym wszystkich co ją otaczali, ująć sobie umiała. Nigdy swych własnych nie mając dzieci — tak ona jak i jéj brat baron de Vilcour — poruczoną ich opiece córkę, swéj zmarłéj siostry—Gabryjelę—niewymownie kochali.

Właśnie tego wieczora familija markizy była w salonie zebraną. Markiza robotą kanwową była zajętą — a u nóg jéj siedziała Gabryjela, trzymając niedbale bukiet jesiennych kwiatów. Przy drugim rogu stołu, Teobald w ozdobném rysując *Album* — często z miłym uśmiéchem w przeciwną spoglądał stronę. — Za miesiąc miał Teobald zostać mężem pięknéj Gabryjeli.

Przy kominku stał baron Vilcour z hrabią Anatole de St. Servien.—Blizkie pokrewieństwo hrabiego z Teobaldem, dozwalało mu wstępu w tym domu. Byłto jeden z tych młodych, ciągle w wielkim świecie żyjących ludzi, o których równie nic złego jak też i dobrego powiedzieć nie można.

Z prawdziwą ojcowską rozkoszą spoglądał baron na siedzących przy stole. Właśnie Teobald był mężem, którego sobie dla ukochanéj swéj życzył Gabryjeli. Imię miał zaszczytne, mierny wprawdzie majątek—lecz teraźniejsze w świecie położenie, rokowało najpiękniejsze nadzieje — najszlachetniejszy sposób myślenia i nienaganne dotychczas życie, były dostateczną dla przyszłego szczęścia Gabryjeli rękojmią. I jéj serce zupełnie z życzeniem krewnych się zgadzało—których czułą dla siebie troskliwość z niezmienną uznawała wdzięcznością.

»Zbliż się do mnie kochany wuju«, rzekła do barona, »Teobald i ciebie w *Album* umieścić musi.«

»O, nic z tego nie będzie ty swawolna dziewczyno«, odpowiedział jéj baron z uśmiéchem; »ty chcesz, by przy mojéj staréj figurze, twoje młodociane wdzięki lepiéj odbijały. Niedosyćże już masz ze swojéj ośmdziesięcio-letniéj ciotki?«

»O tém bynajmniéj nie myślałam«, odpowiedziała Gabryjela; »znasz mnie kochany wuju, iż próżną nie jestem — nié mam albowiem żadnéj przyczyny, abym nią była. Wiém o tém dobrze, iż piękną nie jestem«, a właśnie niewymownie piękną była, wymawiając te słowa.

Baron stanął za krzesłem Teobalda; rysunek jego był doskonałym, tylko jeszcze twarzy Gabryjeli nie ukończył, a chęć artysty upiększenia ją, była widoczną.

»Pani!« rzekł Teobald do Gabryjeli, »chciéj, proszę, cośkolwiek przechylić głowę!« Nachyliła Gabryjela głowę ku ciotce, a piękne, złoto-płowe jéj włosy w długich splotach na milutką spadły twarzyczkę. »Dobrze tak«, rzekł Teobald i daléj rysował.

W téj chwili dészcz uderzył z szumem w okna. »Co za okropna burza«, rzekł hrabia Anatol.

»Nie mało ona mnie gniewa«, odpowiedziała markiza, »miłych albowiem dziś spodziéwałam się odwiédzin: Panią de las Bermejas.«

»Panią de las Bermejas?« powtórzył hrabia z żywością. »Też to Hiszpankę, któréj mąż poległ w Nawarze, a która prawie cudem przed powstańcami ujść zdołała?«

»Tę samę, hrabio.«

»Prawdziwie bohatérką nazwać ją można; mówiż ona po francuzku?«

»Jak rodowita francuzka. Wszakże w Paryżu się wychowała.«

»Tém lepiéj, wiele przyjemności z jéj rozmowy sobie obiecuję. Co za przebrzydły dészcz, że nas téj pozbawił rozkoszy. I ciebie gniewać to musi, nieprawdaż Teobaldzie?«

»Bynajmniéj«, odpowiedział Teobald czułém tonąc w Gabryjeli wejrzeniem. »Niewymownie lubię takie ciche wieczory w poufném gronie familijném. Jakże nam tu dobrze w domowéj zaciszy! Słota jakby w porozumieniu z życzeniami mojémi, od wszelkich natrętnych uwalnia nas wizyt. Wreszcie przyznam się, iż umysł bohatérski nie jest przymiotem, którybym lubiał w kobiécie. Daleko wolę łagodną, nieśmiałą nawet kobiétę — niż bohatérkę na koniu z orężem w ręku. Dla mnie to jest odrażającém.«

»Łatwo pojmuję, iż urocza, pieszczona kobiéta — więcéj do twego przemawia serca; ja zaś odważne lubię kobiéty. Wyobrażam sobie panią de las Bermejas, wyniosłą, smagławą — z imponującym wzrokiem — nawet może i nie ładną, lecz bardzo interesującą. Nieprawdaż markizo?«

»Prawie że tak«, z uśmiéchem odpowiedziała markiza. »W tych dniach cię przedstawię jéj hrabio, a sam obaczysz, jak trafnie ją opisałeś.«

W téj chwili usłyszano turkot zajeżdzającego powozu.

»Może to przecież będzie pani de las Bermejas«, zawołała Gabryjela, uśmiéchając się mile Teobaldowi, jak gdyby mu tę przerwę wynagrodzić chciała.

»I ja tak myślę«, odrzekł hrabia stawając dla poprawienia włosów i krawaty przed źwierciadłem. Wtém wszedł służący oznajmując panią de las Bermejas.

Weszła podnosząc czarny swój woal i lekkim przywitawszy wszystkich ukłonem, usiadła przy markizie.

Powszechna po piérwszém przywitaniu nastąpiła cisza — bo wszystkich, przed wszystkiémi zaś barona, który ją po raz piérwszy widział, Ines de las Bermejas rzadką swą zachwyciła pięknością.

Wystawmy sobie jednę z tych uroczych twarzy, którą najgorętsza wyobraźność malarza w najpiękniejszéj chwili raz tylko w życiu utworzy: wzrost majestatyczny, twarz pełną wdzięków — spaniały, śnieżnéj białości, od czarnych korónek zachwycająco odbijający gors, i dwie drobne cudnéj piękności rączki, z lekką kokieteryją na żałobnéj skrzyżowane sukni.

Baron ledwie słyszał o czém mówiono, tak jéj pięknością był zachwyconym. I Teobald spojrzał na nią z podziwieniem, lecz po chwili zupełnie swoim się zajął rysunkiem. Pani de las Bermejas spojrzawszy szybko na Teobalda, zaraz piękne swe oczy na hrabiego Anatola zwróciła, lecz żadnego między tymi młodzieńcami nie można było robić porównania.

Teobald miał w twarzy swojéj rysy do wyobraźni kobiécéj przemawiające — wzrok pełen myśli, uśmiéch zachwycający. Anatol zwyczajnie biały, rumiany, podobnym był do wielu innych — wszelkiémi sposobami starał się on zwrócić na siebie uwagę Hiszpanki, bezkorzystnie wszelako, gdyż ona ani na niego ani na Teobalda, który zupełnie swym rysunkiem zdawał się być zajętym, nie zważając, wesoło z markizą rozmawiała.

Markiza, która bardzo lubiła niespodzianki, w najlepszym była humorze. Anatol zręcznie naprowadziwszy rozmowę na zdarzenia, w których pani de las Bermejas tak znaczną odgrywała rolę, zapytał się jéj: czy to prawda, iż już na śmierć skazaną była?

na co taż uśmiéchając się odrzekła: że ją jak żołniérza chciano rozstrzélać.

»Na śmierć skazaną«, odrzekła markiza, »i ja podobnież w roku 93 — lecz się mi przed tym wyrokiem ukryć powiodło. I cóż, te potwory zmiłowałyż się nad tobą?«

»Tylko cudem uszłam niebezpieczeństwa«, odpowiedziała pani de las Bermejas i umilkła jakby wstrząśniona okropnym wspomnieniem.

Po krótkiéj zaś chwili rzuciwszy wzrokiem na Teobalda, który z największą rysował pilnością, tak daléj mówiła: »Mąż mój poległ pod murami Wittoryi; ja osiérocona, zostałam w kraju, w którym dwie przeciwne strony ogniem i mieczem się niszczyły. Postanowiłam z początku w góry się udać, i tam w jakiéj wiosce szukać schronienia; lecz jakążbym i tam pewność była miała? któżby mnie był przeciw zbójcom obronił, którzy i tam bezkarnie rabunek za rzemiosło mieli. Wreszcie umyśliłam uciekać do Francyi. Jeden mi tylko służący towarzyszył. O Boże, jakże okropną ta podróż była! Przejeżdzaliśmy przez kraj zupełnie zniszczony; drogi do nie przebycia, pola spustoszałe, wsi, w których decymowani mieszkańcy przed każdą chorągwią, przed każdym mundurem się kryli, gdyż zarówno się bali Karlistów jak Krystynistów. Jadąc ciągle manowcami, staraliśmy się ile możności ominąć strony, w których Gerylasy swoje stanowiska mieli, a dwie nocy w odległych, samotnie leżących dworkach spędziliśmy. — Ku wieczorowi dnia trzeciego podróży naszéj, zajechaliśmy do małéj *Venty* (austeryi) w okolicy Estelli. Muły moje tak były znużone, iż ani krokiem daléj postąpić nie mogły. Wiécie państwo, jak taka wygląda *Venta?* Jestto podobieństwo do stajni czyli szopy, w któréj kupcy, żołniérze, mularze i żebracy razem jedzą i śpią. Posiliwszy się cokolwiek, dla przepędzenia nocy wsiadłam do mego powozu, obok którego mój służący Periko na ziemi się położył. Byłato jedna, z tych zwykle uroczo pięknych nocy w Hiszpanii. Powóz mój stał pod dużym drzewem morwowym przed bramą *Venty,* zkąd prześliczny miałam widok gdy księżyc śrébrne swe promienie na całą rozlał przestrzeń.

Wszystko w głębokim śnie spoczywało, tylko czasami krzyk żałobny nocnego ptaka przerywał błogą ciszę. O, jakże w téj chwili urocza była natura! Któżby mógł pomyśléć, iż w tym pięknym kraju, takie okropne działy się bezprawia!

W takichto myślach pogrążona, przebiegałam oczyma niezmierną przestrzeń, gdy wkrótce o podal jakieś mi się światła mignęły i przytłumione krzyki słyszéć się dały. W téj chwili już i Periko z miejsca swego się zerwał, wołając: »*Signora,* Karliści się zbliżają! — cóż teraz poczniemy?« — »Natychmiast wyruszyć musimy«, odrzekłam. W przeciągu chwil kilku, już byliśmy w drodze. Całą noc okropnémi jechaliśmy manowcami i tylko cudem tysiączne minęliśmy przepaście, po nad któremi nas wiodła nasza drożyna. Z blaskiem jutrzenki, ujrzeliśmy się w parowie, w którym szumiący potok swe prądy rozbijał. Stuletnie dęby ocieniały bezdennémi przepaściami przeciętą drożynę, niebotycznémi otoczoną skałami, po nad któremi hurma złowieszczych kruków z ponurym wrzaskiem się tłumiła. Nigdy to okropne ustronie z mojéj nie wyjdzie pamięci! Dziś jeszcze widzę te drzewa, te skały, te po nad drogą wznoszące się ponure krzyże, oznaczające miejsca, gdzie niejeden nieszczęsny podróżny snem wiecznym spoczywał.

Mniemaliśmy, iż tu już koniec świata, iż bezludną jedziemy puszczą, gdy oto nagle z po-za drzew głos okropny: »Stój!« na nas zawoła. Z siłą, przestrachem powiększoną, zaciął Periko muły, ale w téjże chwili z obu stron drogi, kilka strzałów zagrzmiało. Periko śmiertelnie kulą ugodzony, spadł na ziemię, a ja bez duszy, wyskoczyłam z powozu.«

»I dałaś pani ognia do zbójców?« przerwał Anatol opowiadanie.

»Nie, tegom nie uczyniła«, odrzekła pani de las Bermejas z szczérą prostotą, »na pół umarła ze strachu, zaczęłam płakać. Żołniérze otoczyli powóz; po ich mundurach poznałam, że to byli Karliści. Od martwego, krwią zbroczonego ciała Perika, oczy odwracając, usiadłam nad drogą na urwisku skały. Na zapytania badającego mnie oficera, odpowiedziałam: iż jestem francuzką i do mojéj wracam ojczyzny. Tymczasem

rozbito mój kufer i wszystko w nim przetrząsano. Dzikiémi krzykami i przeklęctwem zagłuszona, niewymownym zdjęta strachem, blizką byłam zemdlenia.«

Tu umilkła pani de las Bermejas, drobną swą rączką zasłaniając oczy, a Teobald odłożywszy ołówek, pilnie się w nią wpatrywał. W oczach jego niespokojne malowało się oczekiwanie.

»Byłito prawdziwi Hiszpanie«, mówiła daléj de las Bermejas, jak gdyby odpowiadała myślom Teobalda. »Przesądni, okrutni—za nic sobie nie mieli bezbronną zamordować kobiétę—lecz nigdyby jéj nie byli zhańbili. Oficer odprowadził mnie cokolwiek na stronę; w niewielkiém oddaleniu strzegło mnie dwóch żołniérzy, a na środku drogi rozpoczęto radę. Kilku oficerów, mnich i dwóch po cywilnemu ubranych mężczyzn, radę tę składali. Rozmawiali ze sobą cicho, lecz bardzo żywo. Ani mi przez myśl nie przeszło, aby życie moje w niebezpieczeństwie być mogło, a przecież trwogą przejęta, gorąco się modliłam za siebie i za biédnego Perika, którego śmierci niewinną byłam przyczyną. Widok trupa i ta myśl, iż mnie samę w téj puszczy przy nim zostawią, daleko większym niż widok Karlistów, nabawiły mnie strachem. Oddziały żołniérzów nadchodziły śpieszno i znowu się oddalały. W oddaleniu słyszałam nieustanne strzélanie. Wrzawa bitwy coraz się wzmagała. Po upłynieniu okropnéj dla mnie godziny, żołniérze, którzy mnie strzegli, kazali mi na kilka kroków daléj postąpić. Stanęłam pośród sędziów moich; twarze ich były surowe i ponure, oczy ich odemnie odwrócone.—»Dona Ines de las Bermejas przybliż się«, rzekł jeden z oficerów, noszący oznaki wyższego wojskowego stopnia.—Na to zawołanie cała się wzdrygnęłam, ledwie parę kroków postąpić mogłam. — »Dona Ines de las Bermejas«, rzekł tenże sam oficer ponurym głosem, »jesteś oskarżoną i przekonaną o śpiegostwo—poleć duszę swoję Bogu—albowiem zgromadzony tu sąd wojskowy—na śmierć cię skazał.«

Przestrach okropny, niewysłowiona trwoga wstrząsły mną na to oświadczenie! Ginąć—ginąć w tak młodym wieku! Rzuciłam się im do nóg, zaprzysięgałam niewinność moję, rzewnémi łzami błagałam o życie moje. Dla ocalenia się od śmierci, byłabym najsurowsze przyjęła warunki.«

Teobald wpatrzył się jak wprzódy w panią de las Bermejas, która spostrzegłszy to, dodała:

»Prócz warunku zhańbienia! Lecz nadaremnie starałam się wzbudzić w nich litość, wszyscy oddalili się odemnie. Tylko mnich pozostał przy mnie dla udzielenia mi ostatniéj religijnéj pociechy. Chciałam przemówić do niego, lecz słowa wyrzec nie byłam w stanie—wlepiwszy oczy w pęk na drodze złożonych karabinów, bez przytomności prawie leżałam u nóg jego. Przestałam płakać, przestałam przebaczenia błagać, nic już nie widziałam, jak tylko te okropnie błyszczącą broń przy sobie a ślicznie wypogodzone niebo nad sobą. Mnich cichym nademną pomodliwszy się głosem, rzekł do mnie: »Córko moja, upokorz się przed twym stwórcą, gdyż żadnéj dla ciebie już nié ma nadziei.« W téj chwili spojrzałam na niego: byłto sędziwy starzec, w oczach jego błyszczały łzy litości.—»Ojcze mój«, zawołałam, chwytając się konwulsyjnie szaty jego, »ratuj mnie, jestem zupełnie niewinna! Ja się ciebie uchwycę i nie puszczę się ciebie — przy tobie nie mogą, nie zechcą mnie zabić. Zlituj się nad biédną kobiétą! Patrz, jeszcze jestem młodą, pełną życia, i miałabym już teraz ginąć! Tak piękną przyszłość mam jeszcze przed sobą. Ach, ciężki Bogu zdadzą rachunek, jeżeli w morderczy sposób życie moje skrócą!«—Nadaremnie starał się mnich wydrzéć z rąk moich; tak silnie ujęłam go za szatę obiema rękami, iż mnie klęczącą na kilka kroków powlókł za sobą. Wtém usłyszawszy szczęk przeraźliwy od nabijania karabinów, zdrętwiałam cała i wypuściłam z rąk szatę mnicha, a ten się oddalił; tu nastąpiła krótka cisza—kilka wystrzałów zagrzmiało—a ja—bez duszy padłam na ziemię.—Gdym się ocknęła, leżałam nad drogą na poduszkach z powozu mojego. Z wyrazem najżywszéj litości klęczał mnich przy mnie. Byliśmy sami. Przypomniałam sobie wszystko co zaszło, czułam, iż jeszcze żyję, lecz ciężko ranioną być się sądziłam. Za pomocą mnicha podniosłam się na nogi, dał mi trochę wina, to mnie pokrzepiło.—»Córko moja«, rzekł z widoczną radością—»twój przestrach był większy, niż twoje nieszczęście. Przyjdź do siebie i podziękuj Bogu.«

»Chciałam mu wdzięczność moję wyrazić, gdyż czułam, iż on moim był wybawicielem, lecz tak byłam osłabiona, że tylko łzami zalana, ręce złożyć mogłam.«

»Cóż teraz poczniesz dziécię moje«, zapytał się mnie szanowny kapłan.

»Do Francyi schronić bym się chciała«, odrzekłam.

»Do Francyi?« odrzekł, sędziwą wstrząsając głową. »Do Francyi—która nieszczęść Hiszpanii jedyną jest przyczyną? Tam prawy Hiszpan nigdy żyć nie może.«

»Lecz tu, tylko śmierć straszna może być moim udziałem«, odrzekłam lękliwie.

»Dobrze więc«, rzekł, »wstań i pójdź za mną, będę twym przewodnikiem i tak dzieła mojego dokończę.«

»Powóz mój stał na drodze jeszcze, lecz mułów już przy nim nie było. Szukałam oczyma ciała nieszczęsnego Perika, a mnich milcząc, pokazał mi świeżo-usypany kopiec. Biédny Periko; i ón był młodym, i jemu mile było życie! — Miałam przy sobie złoto i klejnoty ukryte. Nadaremnie prosiłam mnicha, by ze mną chciał się podzielić. Pieszo w dalszą puściliśmy się drogę. Nazajutrz rano byliśmy nad granicą.

Mój wybawca żegnając się ze mną, pobłogosławił mnie, i rzekł: »Gdy za témi będziesz górami — nie zapomniéj o twojéj ojczyźnie i módl się za Fra Antonia de Leon.«

Gdy pani de las Bermejas umilkła, ze łzami w oczach ścisnęły jéj rękę Gabryjela i markiza. Równie baron mocno był wzruszonym. Hrabia Anatol wyrażał wykrzyknikami swe zadziwienie. Teobald milczał zupełnie.

2.

Wkrótce pani de las Bermejas, ścisłą całego domu została przyjaciółką. Mało bo téż kobiét sztukę podobania się w tak wysokim posiadały stopniu. Połączała bowiem prócz niepospolitéj piękności, przy rzadkiéj w mowie przyjemności, nadzwyczajny wdzięk w obcowaniu. Niemało téż szczególność jéj położenia do zajęcia się nią, wszystkich zniewalała: Była wdową, nie miała żadnych krewnych a przeto w dwudziestym roku życia swojego, zupełną losu i woli swéj pania. Baron czasami siostrze swéj spominał, iż mu się zdaje, jakby pomiędzy panią de las Bermejas a hrabią Anatolem, miłosny się wszczynał stosunek, lecz wkrótce widoczną jéj względem hrabiego uważano oziębłość. Co się dotyczy Teobalda, zaraz w dniach piérwszych przyzwoitą przybrała poufałość, do czego ją zaręczyny jego z Gabryjelą upoważniać mogły. Innémi niż wszyscy widział to baron oczyma, a postrzeżenia jego bynajmniéj nie były zaspakajające; wszelako przed nikim z tém się nie wydawał, charakterowi Teobalda ufając. Pani de las Bermejas wzięła sobie za powinność przywiązanie Teobalda i nieskażoną wierność jego dla Gabryjeli nieustannie pochwalać, lecz za nadto dobrze znała ludzi, aby tam widziéć mogła płomień, gdzie tylko mdłe tliło światełko. To udawanie, którego nie mógł odgadnąć przyczyny, gniewało barona nadzwyczajnie.

Jednego wieczora, gdy wszyscy znowu w domu markizy zgromadzeni byli, wszczęła się o małżeństwie rozmowa. Hrabia Anatol, związek, w którym dwoje ludzi najczulszą zdjęci miłością, w jedną prawie zléwają się istotę, rajem ziemskim nazwał, a baron dodał, iż rozsądny mężczyzna lepiéj swéj młodości użyć nie może, jak szczęśliwe zawarłszy małżeństwo. — Ines de las Bermejas bawiąc się wachlarzem, tém prawdziwém w ręku piękněj kobiéty berłem, przysłuchywała się cokolwiek roztargniona téj rozmowie. Wreszcie obracając się do barona, rzekła z chytrym uśmiéchem: »Smutnymto zaiste jest szałem, małżeństwo ze stosunków a nie z miłości! Pojmuję, iż można wolność swoje głębokiéj poświęcić namiętności, pojmuję, iż można radośnie poddać się w jarzmo nierozprzężne, w którém się tylko tęsknotę i rozpacz widzi — bo to jest małżeństwo z miłości. I to wreszcie pojmuję, iż dla dostąpienia zaszczytów i godności, na zawsze uwięzić się można: bo to jest małżeństwo z ambicyi. Lecz bez miłości, bez ambicyi, wolność swoję u nóg kobiéty złożyć, przyszłość swoję zawiązać i zimno wyrzec: nie jestem zakochany, nie uszczęśliwię się ani wzniosę, żenię się tylko, aby się ożenić... tego szału, ja pojąć nigdy nie mogę!«

»I ja nie«, żywo wyrzekła Gabryjela. »Biédne dziécię, wszak ona swego narzeczonego tak serdecznie kochała!«

»I ja nie«, powtórzył hrabia Anatol z zapałem.

Sam tylko Teobald milczał ciągle, wtopiwszy przenikliwe, smutne w panią de las Bermejas spojrzenie; spojrzenia tego nie postrzegła Gabryjela.

»W dawnych czasach«, rzekła teraz markiza de Pons, »zawiérano małżeństwa z saméj tylko konweniencyi, a przecież po największéj części szczęśliwe były. Kiedy mnie za mojego męża wydano, wszystkiego dwa razy w życiu go widziałam. Mogłamże człowieka kochać, któregom zupełnie nie znała? Wszelako wszystkim, co bliżéj nas znali, wiadomo, ileś my się kochali i jak szczęśliwym był nasz związek!«

Hrabia Anatol będąc tego wieczora na bal zaproszonym, wyszedł najpiérwszy. Małe towarzystwo przysunęło się jeszcze bliżéj do kominka. Tylko Teobald w ciągłém zostawał milczeniu; podparłszy się jedną ręką o stół, drugą, jakby od niechcenia posuwał ołówkiem po piérwszéj karcie *Album* Gabryjeli. Baron rzuciwszy z nienacka okiem w tę stronę, poznał piérwszy rzut rysu pani de las Bermejas mistrzowsko trafiony. Nagle, jakby z marzenia swojego ockniony, zaczął Teobald coraz żywiéj rysować i tak zręcznie umiał potret gałązkami obok wyrysowanéj wiérzby płaczącéj zacienić, iż go tylko przy bardzo pilném wpatrywaniu się rozeznać było można.

O godzinie jedénastéj, zabrała się pani de las Bermejas do wyjścia. Zwykle wracała do siebie najętą remizą. Baron zadzwonił, by jéj służącego o tém zawiadomić. Ona zaś wyjrzawszy

przez okno, rzekła z uczuciem: »Co za noc prześliczna! Jak uroczo księżyc przyświécał! Grzéchem byłoby jechać w tak piękny wieczór; wolę dziś pieszo do domu wrócić.«

»Teobald będzie pani towarzyszył«, rzekła dobra Gabryjela; a gdy pani de las Bermejas téj grzeczności zaprzeczyć chciała, nastając na to, mówiła daléj: »Nie, nie, to być nie może; pani saméj powracać nie wypada; przecież idąc z moim narzeczonym, nie możesz do złośliwych uwag dać powodu.«

Teobald wydał się być pomieszanym. Piérwsze jego poruszenie było dla Gabryjeli i jéj ciotki tak śmiészne, iż obie głośno śmiać się zaczęły. »A więc dobrze«, rzekła Hiszpanka zarzuciwszy na swoję twarz czarny korónkowy welon, w którym jéj tak pięknie było, »wybacz panie Teobaldzie, iż cię utrudzić muszę.«

Teobald włożywszy rękawiczki, wziął za kapelusz, lecz milczał ciągle, gdyż jedném słowem byłby zdradził wewnętrzne wzruszenie swoje. Ale gdy pani de las Bermejas podała mu swoję piękną rękę, wtedy zbladł i zadrżał, ona się uśmiéchnęła, i oboje wyszli.

Markiza odeszła do swojéj sypialni. Baron w milczeniu usiadł przy kominku. U nóg jego na stołeczku usiadła Gabryjela. Zdawała się być głęboko zadumaną, baron przypatrywał się jéj lękliwie; wtém ona czule za rękę go ująwszy, z prawdziwym anioła rzekła wyrazem:

»Nie prawdaż kochany wuju! Ja bardzo szczęśliwą jestem!«

Nazajutrz markiza dawała u siebie zabawę. Gabryjela raz jeszcze w domu ciotki chciała towarzyszki swéj młodości zgromadzić, a może i w niewinnéj z szczęścia swojego próżności, swoim się narzeczonym przed niémi pochwalić. Miały być i tańce a Gabryjela po raz piérwszy miała być balu królową.

O dziewiątéj przybyła pani de las Bermejas. Nie w zwykłéj żałobie, lecz w śnieżno-białéj atłasowéj ukazała się sukni. Jéj długie, kruczo gładko uczesane włosy, tylko wieńcem z fijołków ozdobione były. Nie miała ani klejnotów ani korónek, a przecież niewymownie piękną była. Gdy weszła, wszystkich się na nią zwróciły oczy i wszyscy do tańca zamawiając otoczyli ją mężczyźni. Stanowczo wszystkim odpowiedziawszy, iż tańczyć nie będzie, usiadła przy stoliku obok dwóch grą zajętych, nie młodych już dam.

Wkrótce potém wszedł Teobald. Piérwsze jego wejrzenie szukało pani de las Bermejas. Niewinnéj radości rumieniec okrasił lice Gabryjeli, gdy go zoczyła, bo przeciw zwyczajowi swojemu przez cały ten dzień jéj nie odwidził.

Rozpoczęły się tańce w salonie. Hrabia Anatol, którego kilkakrotne wezwanie do tańca pani de las Bermejas stale odmówiła, pocieszał się tém, że się mógł kręcić koło kilku ładnych kobiétek. Teobald smutnym się być zdawał. Przetańczywszy piérwszego z Gabryjelą kontradansa, usiadł w bocznym pokoju.

Pilnie wszystko uważający baron, zasiadł do partyi. Chociaż plecami do pani de las Bermejas był obróconym, jednakże w wiszącém naprzeciw źwierciedle, twarz jéj mógł dokładnie widziéć. Pani de las Bermejas siedziała milcząc w poręczowém krześle i ledwie pół słówkiem odpowiadała tym, którzy do niéj przemówili; cała jéj uwaga zdawała się na grę być zwróconą. To trwało do piérwszéj z północy. Teraz dopiéro Teobald do niéj się zbliżył; z miłym do niego obróciła się uśmiéchem. Usiadł przy niéj.

»Możnaż panu dobréj tego wieczora powinszować zabawy?« z widocznym zapytała się udziałem.

»Nie pani«, odpowiedział cicho Teobald, »za nadto trujące prześladowały mnie myśli, ażebym dobrze mógł się był bawić.«

»A to dla czego?«

»Chciałbym téj, która tyle na to zasługuje — więcéj poświęcić miłości, niż to w méj jest mocy!

»Nie widzę w tém żadnego niepodobieństwa. Gabryjela tak milutkiem jest stworzeniem. Pojąć nie mogę twéj ciągłéj oziębłości panie Teobaldzie. Miałżebyś nie widziéć, nie pojmować tego błogiego szczęścia: gdy dwie najczulszą miłością złączone istoty, jednę tylko myśl, jednę wolę, jednę duszę mają? Najczystsze niebianów szczęście, z tém tylko szczęściem ledwie porównaném być może!« To mówiąc z wyrazem najczulszéj smętności, zwróciła piękne swe oczy na Teobalda, który z trudnością oddychając, drżał widocznie i miał usta pobladłe.

Nareszcie zapytał ją głęboko wzruszonym głosem: »Pani tym uroczym sposobem kochałaś zapewne pana de las Bermejas?«

Na to zapytanie nic nie odpowiedziała, lecz po jéj ustach ironicznie przelatujący uśmiéch wyraźnie zdawał się mówić: Ani jego ani nikogo na tém całém świecie.

»Więc się pani bez uczucia miłości zaślubiłaś?« pytał daléj Teobald z tajemną radością.

»Wtedy — było co innego — wtedy zaledwie lat szesnaście miałam. Terazbym téj okropnéj, całą przyszłość wiążącéj przysięgi, pewnie tak lekko nie wyrzekła.«

»Więcbyś pani — po raz drugi — nie chciała zapewnie wejść w związek małżeński?«

»Nie!« odrzekła z głębokim smutkiem po krótkiém milczeniu. »Nie! bez miłości, pewniebym więcéj w ślubne nie weszła związki.«

»Lecz gdyby cię w ten związek wezwała miłość najczystsza?«

»Miłość«, westchnęła, smutnie głową wstrząsając. »Miłość — jestto wyraz, który teraz czczéj kokieteryi, próżnéj grzeczności nadają. Rzuć okiem na około siebie. Azaliż sądzisz, iż Anatol wié, co jest miłość? O nie! za nadto różane jego lica, za nadto rozkosznie tańcuje, za nadto do każdéj uśmiécha się kobiety, by jednę prawdziwie mógł kochać. Myślisz może, iż Gabryjela zna miłość? Szczęśliwe dziécię, które łzy nie uroniło, gdy na ciebie czekało, nigdy nie zadrzało, nie zbladło, gdy twoje usłyszało kroki? I ty Teobaldzie, i ty Gabryjeli nie kochasz, nigdy ją kochać nie będziesz. Lecz ona przezto nieszczęśliwą nie zostanie, gdyż nie wié, co jéj do tego szczęścia nie dostaje.«

»A o mnie — jakże pani sądzisz, wiémże ja, co jest prawdziwa miłość?« zapytał ją Teobald.

Pani de las Bermejas przenikające swoje ku niemu zwróciwszy oczy, po chwili milczenia rzekła: »Wiész.«

Teobald z wyrazem wewnętrznego bolu, szepnął jéj teraz do ucha: »Więc pojmujesz, ile cierpię?«

»Biédny Teobaldzie«, rzekła z przytłumionem westchnieniem pani de las Bermejas, zdało się, jakby jéj oko łzą zabiegło. Teobald pobladł, pochwycił rękę czarującéj kobiety, i drżącym wyrzekł głosem: »Lecz jeszcze przysięga nie wyrzeczona, jeszcze wolny jestem, a teraz poznałem: ilebym mógł być szczęśliwym!«

Pani de las Bermejas spuściwszy oczy, nic nie odrzekła. Serca ich porozumiały się. Gabryjela, to szczęśliwe, pełne zaufania dziécię, tańczyła w téj chwili wesoło w salonie, i często miły uśmiéch posyłała z daleka swemu narzeczonemu. — Wkrótce odeszła pani de las Bermejas. Teobald zajął jéj miejsce, i siedział w głębokiem pogrążony zadumaniu. Około godziny trzeciéj, gdy już całe rozeszło się towarzystwo, przystąpił do barona z zapytaniem, kiedyby go w domu mógł zastać, gdyż ma z nim w ważnym przedmiocie pomówić. — Baron oznaczył czas, i spojrzawszy nań, pochwiał głowa. — Tu przystąpiła Gabryjela do Teobalda i rzekła z zwykłą swoją słodyczą:

»Nie dobrze się dziś bawiłeś kochany Teobaldzie. I mnie nasze poufne rozmowy przy kominku są daleko milsze.«

W umówionéj godzinie przyszedł baron do Teobalda. Zastał go samego w gabinecie. Skoro go Teobald z-oczył, wstał od stolika, poszedł ku niemu i podał mu smutno ale spokojnie rękę. Usiedli.

»Panie baronie«, rzekł Teobald podając mu list rozpieczętowany. »Mój wuj umarł, Anatol został jego spadkobiercą, a ja otrzymałem legat 200,000 franków.«

»Szczérze ci tego spadku życzę«, odpowiedział baron — »wiém, żeś na to nigdy nie liczył.«

»Bynajmniéj. W trójnasób przezto powiększa się mój mały majątek. Nie dla siebie, lecz dla Gabryjeli, serdecznie się z tego cieszę.« To mówiąc złożył list i obojętnie go na stół rzucił. — Baron pojął łatwo, iż w duszy Teobalda szlachetne dla Gabryjeli odzywało się jeszcze uczucie, jednakże nie dał się tém zaspokoić i rzekł do niego:

»Panie Teobaldzie, mówiłeś mi, iż masz mi ważne zrobić odkrycie, przyszedłem, by cię wysłuchać i szczéréj, przyjacielskiéj, jeżli jéj potrzebujesz, udzielić ci rady.«

»Było chwilowy tylko kaprys«, odpowiedział Teobald, »i serdecznie cię przepraszam baronie, iż się bez potrzeby trudziłeś.«

»Teobaldzie«, pełnym szczérego udziału głosem odrzekł baron, »ciebie jakieś tajemne udręcza zmartwienie? Dla czegoż staremu powierzyć go nie chcesz przyjacielowi?« — Teobald w ponurém trwając milczeniu, zwrócił się obojętnie ku stolikowi, a na tém przestała rozmowa. Wpatrując się w leżący na stole kalendarz, wskazał palcem na 25ty listopada.

»Dni dziesięć tylko do ślubu naszego«, wyrzekł powolnym głosem, »czy żadnéj nie opuszczono formalności?«

»Żadnéj mój przyjacielu«, odpowiedział baron, zimną przerażony obojętnością, z jaką Teobald do najważniejszego w życiu zabierał się kroku. — Nakryto do śniadania. Mówiono właśnie o różnych tyczących się ślubu przygotowaniach, gdy wszedł hrabia Anatol. Żałował bardzo, że téj uroczystości obecnym być nie może; odziedziczony majątek, niosący mu rocznie 60 tysięcy fr. dochodu, zmuszał go do odjazdu.

Od dawna było już umówionem, iż ślub się na wsi w ładnej koło Meudon willi odbędzie. Tam Gabryjela piérwsze życia swojego przepędziła lata. Markiza pewny rodzaj przesądu w tém miała, aby ślub jéj w téj samej co i chrzest odbył się kaplicy. Zresztą sama tylko familija obecną być miała; na co szczególnie baron nastawał, aby przyzwoity mieć powód do wyłączenia panią de las Bermejas od téj uroczystości.

Gdy baron wyszedłszy od Teobalda powrócił do domu; Gabryjela wybiegła naprzeciw niego i usiadłszy na stołeczku przy jego poręczowém krześle rzekła: »Wiész już kochany wujaszku, jakie szczęście spotkało Teobalda? Odziedziczył 200,000 franków! Dla niego tylko tak bardzo się cieszę, gdyż ja bym go i najbiédniejszego, z równą serdecznością kochała!« To rzekłszy z pośpiechem, umilkła i zapłoniwszy się: iż uczucia serca swojego tak niebacznie wydała, zakryła twarz obiema rękami. Baron pocałowawszy ją w czoło, zapytał: »Cóż ci to moje lube dziécię?« — »Nic, nic, mój kochany wujaszku«, odrzekła śród łez z anielskim uśmiéchem, »jestem tak bardzo, tak bardzo szczęśliwą, iż się lękam, aby mnie jakie wielkie nieszczęście nie spotkało!« — »Śmieszne z ciebie dziécię!« odpowiedział baron, »albożto ja nie czuwam nad tobą? Twoja przyszłość wschodzi jak zorza na pogodném niebie, za dni kilka będziesz żoną Teobalda.« — »Tak zaiste«, rzekła uroczysto Gabryjela, »tylko śmierć może zniszczyć moje szczęście!«

(Dokończenie nastąpi.)

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją **T. W. Kochańskiego**, wyszedł N. 45. i obejmuje: 1) O urządzeniu i zarządzie dóbr. Rys ze względu na stosunki galicyjskie skréślony przez Kazimierza Józefa Turowskiego. (Ciąg dalszy). 2) O przyrządzeniu parzonki dla owiec i bydła. 3) O paraliżu u owiec. 4) Wiadomości o dębnicy garbarskiéj. 5) Wiadomości czasowe: *a*) O mnożeniu drzewek śliwowych z nasienia. *b*) Kartofle algierskie. *c*) Pomnik dla Parmentier'a, który piérwszy zaprowadził kartofle do Francyi.

Dziennika mód paryskich, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 23. i zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Miłość i dyplomacyja. 2) Wyjątek z dramatu: *Stefan Dobrzecki*, przez Fr. Wiesiołowskiego. 3) Teatr.

Z Warszawy: *Przeglądu naukowego* numer 30. zawiera następujące artykuły: 1) Przegląd piérwszego półrocza *Biblijoteki warszawskiéj* z r. 1843. (Ciąg dalszy). 2) Encyklopedyja i Metodologija. (Ciąg dalszy), przez Mazura z Płockiego. 3) Kronika piśmiennicza polska.

Udzielanie nauki ciemnym. *Societe d'encouragement* w Paryżu na ostatniém rocznem posiedzeniu swojém dnia 9go września, nadało panu Toucault medal platynowy za wynalezione przezeń ułatwienie w udzielaniu nauki ciemnym. Nikt nad pana Toucault nie mógł lepiéj uczuć niedoli i potrzeby ciemnych, gdyż on sam jest ciemnym. Najtrudniejszą było dotąd rzeczą nauczyć ciemnego sztuki pisania, wynalazek zaś p. Toucault doprowadził do tego, że ciemny może w niewielu dniach nabyć téjże nauki pisania czysto i poprawnie. Czarne litery, ręką ciemnych na papiérze kréślone, powtarzają się równo-cześnie na większéj karcie w dość znacznéj wypukłości. To sztucznie wymyślone urządzenie ułatwia ciemnym odczytanie napisanych głosek i onych w razie potrzeby sprostowanie. Sam pan Toucault w Paryżu udziela bliższych szczegółów o tajemnicy téj metody.

Jak dawno znana jest w Chinach religija chrześcijańska. Z powodu gorliwości wysyłania do Chin misyjonarzy, panującéj obecnie we Francyi i Anglii, czyni dziennik *Herald* tę na dokładnych historycznych badaniach opartą uwagę, że religija chrześcijańska znana była w tym kraju już w pierwszych wiekach swego istnienia. Wenecyjanin Paolo (pisze ten dziennik), który podróżował do Tartaryi, donosił, że pod tę porę wolno było Chrześcijanom przebywać w Chinach, i że ci mieli w tym kraju znaczną liczbę bardzo bogatych kościołów, na których ruiny teraz jeszcze natrafić można. Wiadomo, że święty Tomasz i jego uczniowie głosili w Chinach naukę chrześcijańską; słowem wszystko mówi za tém, że dawniéj była religija chrześcijańska széroko w tym kraju rozgałęziona. Gdy przed dwiestą laty kopano fundamenta na wielki gmach Jezuitów, niedaleko miasta Si-Gan-Fu, natrafili robotnicy na wielki kamień ciosowy, w którym był wykuty krzyż na ten sam sposób, jak na grobie św. Tomasza w mieście Meliapor. Nad krzyżem był wyryty napis w języku syryjskim, wyjaśniający tajemnicę naszéj religii: że Bóg stał się człowiekiem. To więc posłużyło za dowod, że już w r. 631 po narodzeniu Chrystusa, nauka chrześcijańska była w Chinach znaną i rozgałęzioną. — Staraniem więc teraźniejszych misyjonarzy, niech będzie raczéj przywrócenie religii chrześcijańskiéj, niż nawracanie Chińczyków. Przy postępach oświaty, która będzie skutkiem ściślejszych teraz stosunków z Chińczykami, musi upaść bałwochwalstwo w tym kraju. Prawdziwe światło (dodaje w końcu *Herald*), rozpruszy nareszcie te chmury, które tak długo narody Indyjów i Chin otaczały.

Bogactwo teatrów rzymskich. Wiele mówimy w naszych czasach o wytworności i przepychu naszych teatrów, ale i w tym względzie, równie jak w wielu innych, nie możemy się mierzyć z Rzymianami. I tak wiémy, że Scaurus wybudował teatr, w którym tylko przez jeden miesiąc grać miano, gdyż owoczesne ustawy nie dozwalały miéć stałych teatrów, ale z jakimże wystąpił przepychem? Oto sama scena otoczona była 360 słupami z drogiego czarnego marmuru. Oprócz tego, cały gmach był ozdobiony 3,000 posągów ze spiżu. Jaką zaś użyte do przyozdobienia malowidła i inne ozdoby miały choć zbliżoną wartość, można powziąć z następującéj okoliczności. Po ukończeniu widowisk, rozkazał Scaurus, aby ten wszystek materyjał, który w jego domu do zwyczajnego zbytku nie był przydatny, zabrano i zawieziono do wili, która jego była własnością; lecz gdy niewolnicy przez zemstę ogień podłożyli, wszystko spłonęło, a pomienioną szkodę podawano w ówczas na 5 milijonów talarów. Nasze wielkie gmachy teatralne w porównaniu z dawnémi za czasów rzymskich, są tylko chatkami, bo gdy w naszych 2000 do 3000 widzów zaledwie się mieścić się może, teatr Scaurusa mógł objąć 80,000, a Pompejusza 40,000 ludzi.

Krokodyle sędziami. Na wyspie Madagaskar, panuje szczególniejszy zwyczaj zdawania na wyrok krokodylów losu oskarżonego. Pewien europejski kupiec udzielił wiadomości o następującym wypadku, którego był naocznym świadkiem: »Oczekiwano niecierpliwie ukazania się księżyca na niebie; skoro wzejszedł, przybyło liczne zgromadzenie nad brzeg rzéki, w któréj krokodyle przebywały. Dziewczyna nazwiskiem: Rakar, którą chciwy i zazdrośny krewny o naganną z pewnym niewolnikiem zażyłość oskarżył, nie przyznawszy się do winy na wezwanie sędziów, miała się teraz poddać wyrokowi krokodylów. Sędzia odmówiwszy nad nią formułę czarnoksięzką, oddał ją w ręce jéj przyjaciółek, które jéj aż nad sam brzég towarzyszyły. Tu się rozstała z niemi biédna ofiara dana na żertwę krokodylów, a związawszy wstążką swoje długie, rozpuszczone włosy, skoczyła w wodę. Na widok kilku krokodylów, które z wody podniosły głowy i pożądliwém okiem zdawały się ścigać swoją ofiarę, zadrżałem z przestrachu. Wszystkich oczy były na biédną dziéwczynę zwrócone, wielu obecnych ujęła jéj młodość a wielu jéj nieustraszone męztwo. Pełnia księżyca przyświécała téj okropnéj scenie, mogłem więc śledzić każdy ruch młodéj dziéwczyny. Płynęła ona z zadziwiającą szybkością i dostała się wkrótce do małéj, trzciną zarosłéj wyspy. Tu czekała ją najsroższa próba. Według przepisu miała się na tém miejscu trzykrotnie w wodę zanurzyć; za każdym razem, kiedy pornęła, miałem ją za zgubioną. Lecz szczęśliwie śród radości całego zgromadzenia dopłynęła napowrót brzegu, a jéj niewinność była tą szczęśliwą przeprawą udowodniona.«

Napoleon i jego grenadyjerowie. Już wielo-krotnie mówiono i pisano o przytomności umysłu Napoleona i téj moralnéj władzy, którą wywiérał na żołnierzy swojémi słowy: Książę Gaete udziela nowéj, nader ciekawéj w téj mierze anegdoty: Gdy Napoleon objął dowodztwo nad armiją włoską, ciérpiał żołnierz niedostatek na wszystkiém i żył tylko na koszt zawojowanego kraju. Wojsko nie brało już oddawna nowych mundurów, i było — można powiedzieć — łatami okryte. Na drugi dzień po przybyciu Napoleona do armii, staje przed nim grenadyjer, i uskarza się na niedostatek, okazując łaty na sobie. Napoleon wiedząc dobrze, że nie ma ani sukna w magazynach, ani pieniędzy w kasie wojskowéj, mówi do wojennego komisarza, będącego przy jego boku: »Skarga tego żołnierza jest słuszna; wydaj wpan natychmiast rozkazy, aby jego potrzebom zaradzić. Obawiam się tylko, aby tego walecznego, który mimo młodość swoję jest starym żołnierzem, nie miano za rekruta gdy się w nowym pokaże mundurze.« — »Jenerale!« odrzekł sierdzisto grenadyjer, »jeźli tak, nie chcę nowego munduru.« — »Widzisz«, rzekł Napoleon do komisarza, »trzeba znać charakter ludzi, którzy naszemu są powierzeni dowództwu. Żołnierz innego narodu, zaledwieby zrozumiał te słowa.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.